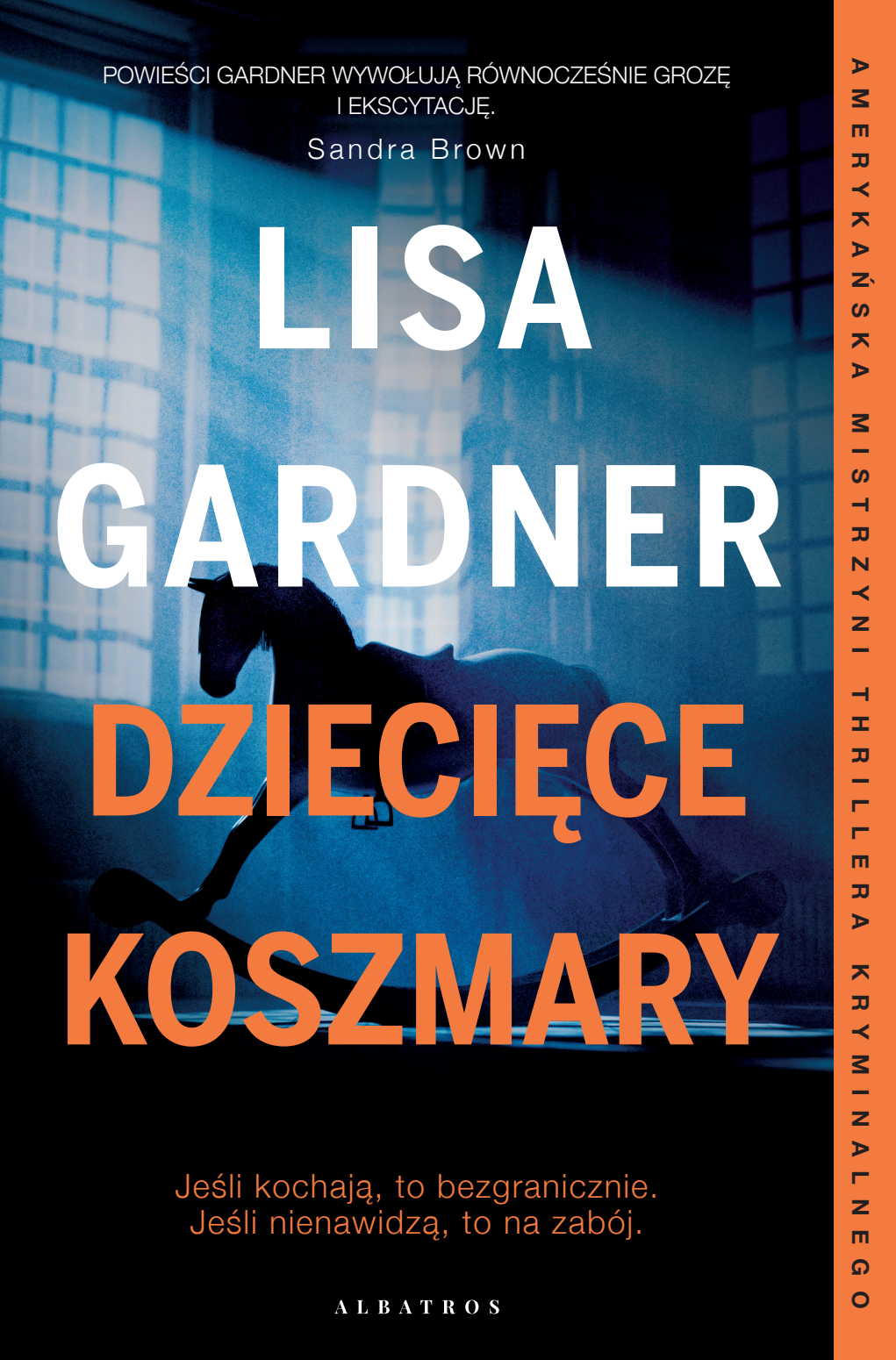


POWIEŚCI GARDNER WYWOŁUJĄ RÓWNOCZEŚNIE GROZĘ
I EKSCYTACJĘ.

Sandra Brown



LISA GARDNER DZIECIĘCE KOSZMARY

Jeśli kochają, to bezgranicznie.
Jeśli nienawidzą, to na zabój.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
LIVE TO TELL

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Katarzyna Procner-Chlebowska, Magdalena Procner 2013

Korekta: Dorota Jakubowska, Jolanta Rososińska

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Mark Fearon/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

DANIELLE

DZIŚ NIEWIELE JUŻ PAMIĘTAM z tamtej nocy. Na początku wydaje ci się, że nigdy nie zdołasz zapomnieć. Czas jest jednak łaskawy, zwłaszcza dla dzieci. I tak z każdym następnym rokiem, powoli, powolutku, kolejne szczegóły rozmywały się w mojej pamięci. Zdaniem doktora Franka to mechanizm radzenia sobie z traumatycznymi przeżyciami. Naturalny etap w leczeniu zranionej duszy. Doktor Frank mówi, że nie powinnam się czuć z tego powodu winna.

Ale ja nie potrafię.

Pamiętam, że obudził mnie krzyk. Sądziłam, że mamy, lecz w policyjnym raporcie wyczytałam, że raczej siostry. Mój pokój tonął w ciemnościach. Nic nie widziałam, byłam zupełnie zdezorientowana. Tylko w powietrzu wyczuwałam jakiś smród. Po tylu latach właśnie to pamiętam najwyraźniej. Śwąd spalenizny. Myślałam, że to pożar, w korytarzu jednak unosił się zapach prochu.

Potem hałasy przybrały na sile. Słyszałam to wszystko, choć nie widziałam: dudniące w holu kroki, odgłos spadającego po schodach ciała. A potem słowa ojca dochodzące z przedpokoju:

– *Malutka Danny. Moja śliczna mała Danny!*

Nagle drzwi się otworzyły. Ciemności pokoju zalał prostokąt światła. W progu zamajaczył cień ojca.

– *Malutka Danny* – powtórzył pogodnie ojciec. – *Moja śliczna mała Danny!*

Po czym przytknął sobie lufę pistoletu do skroni i pociągnął za spust.

NIE BARDZO WIEM, CO DZIAŁO SIĘ PÓŻNIEJ. Czy wstałam z łóżka? Zadzwoiłam na 911? Próbowałam cucić mamę? Zatomować krew tryskającą z roztrzaskanej głowy siostry czy z ciała brata z połamanym kręgosłupem?

Pamiętam tylko, że do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Kojącym głosem zapewniał, że wszystko już dobrze, że jestem bezpieczna. Wziął mnie na ręce, choć jako dziewięciolatka byłam na to trochę za duża. Prosił, żebym zamknęła oczy. Żebym nie patrzyła.

Pokiwałam głową, ale nie opuściłam powiek. Musiałam to zobaczyć. Zapisać te obrazy w głowie. Zapamiętać. Spełnić powinność jedynej ocalałej.

WEDŁUG POLICYJNEGO RAPORTU OJCIEC był tamtej nocy pijany. Nim załadował swój służbowy rewolwer, wlał w siebie co najmniej ćwiartkę whiskey. Tydzień wcześniej stracił posadę w biurze szeryfa właśnie dlatego, że dwukrotnie zjawił się w pracy w stanie wskazującym na spożycie. Szeryf Wayne, mężczyzna, który wyniósł mnie tamtej nocy z domu, miał nadzieję, że to zwolnienie pomoże jego podwładnemu wziąć się w garść, zmusi go do podjęcia terapii w grupie AA. Ojciec jednak miał najwyraźniej zupełnie inne plany.

Zaczął od sypialni: przy łóżku dopadł mamę. Potem zajął się moją trzynastoletnią siostrą, która wychyliła głowę z pokoju, pewnie by sprawdzić, co się dzieje. W korytarzu pojawił się też mój jedenastoletni brat. Próbował uciekać. Kiedy ojciec strzelił

mu w plecy, Johnny sturlał się po schodach. Strzał nie był czysty, dlatego trochę trwało, nim Johnny umarł.

Znajomości tych wszystkich szczegółów nie zawdzięczam oczywiście własnej pamięci. Wyczytałam je w policyjnych aktach w dniu osiemnastych urodzin.

Szukałam odpowiedzi, której nigdy nie udało mi się znaleźć.

Mój ojciec zamordował całą rodzinę. Tylko mnie darował życie. Czy to znaczy, że kochał mnie najbardziej, czy może najbardziej nienawidził?

– A ty jak myślisz? – pyta mnie zawsze doktor Frank.

Myślę, że to jest właśnie historia mojego życia.

ŻAŁUJĘ, ŻE NIE PAMIĘTAM koloru oczu mamy. Logika podpowiada, że musiały być niebieskie, jak oczy jej siostry, cioci Helen, z którą zamieszkałam po śmierci rodziny. W końcu na zdjęciach, które zachowałam, podobne są do siebie jak dwie krople wody.

Zresztą właśnie to jest głównym problemem. Ciocia tak bardzo przypominała mamę, że z czasem się nią stała. Jej oczy pamiętam. Jej głos i ramiona tulące mnie do snu. To boli, bo bardzo bym chciała, żeby mama żyła. Ale jej już nie ma. Moja zdradziecka pamięć bezlitośnie ją uśmierciła, nawet skuteczniej niż ojciec. Dlatego musiałam przeczytać policyjne raporty i przejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni. I od tej pory jedyny obraz mamy, jaki jestem w stanie przywołać w pamięci, to jej nieruchoma twarz z dziurą w głowie i oczy wpatrujące się bez życia w obiektyw policyjnego aparatu.

Mam zdjęcia naszej trójki: Johnny'ego, Natalie i mnie, objętych na werandzie. Wyglądamy na bardzo szczęśliwych, ale nie pamiętam już, jak traktowali mnie brat i siostra. Tolerowali mnie czy może mi dokuczali? Czy kiedykolwiek przeszła im

przez głowę myśl, że pewnego dnia zginą, a ja będę żyła dalej? Czy tamtego słonecznego popołudnia przypuszczali, że żadne z ich marzeń się nie spełni?

– Poczucie winy ocalałego – przypomina delikatnie doktor Frank. – To nie twoja wina.

Historia mojego życia.

CIOCIA HELEN DOBRZE SIĘ spisała. Kiedy niespodziewanie wkroczyłam w jej życie, była czterdziestoletnią bezdzietną prawniczką, która świata nie widziała poza pracą. Mieszkała w małym dwupokojowym mieszkaniu w centrum Bostonu, więc przez pierwszy rok spałam na kanapie. Nie przeszkadzało mi to, bo przez pierwszy rok i tak w zasadzie prawie nie sypiałam. Całymi nocami oglądałyśmy więc powtórki *Kocham Lucy*, próbując nie myśleć o tym, co wydarzyło się tydzień wcześniej, miesiąc wcześniej, rok wcześniej.

Takie odliczanie nie zbliża do żadnego celu. Każdy kolejny dzień jest tak samo do bani. Z tą tylko różnicą, że coraz łatwiej się z tym godzisz.

To ciocia Helen znalazła dla mnie doktora Franka. Zapisala mnie też do prywatnej szkoły, w której niewielka liczba uczniów w klasach gwarantowała stałą kontrolę oraz maksimum uwagi. Przez pierwsze dwa lata nie potrafiłam nauczyć się czytać. Nie umiałam pojąć mechanizmu składania liter ani liczenia. Poranne wstawanie z łóżka kosztowało mnie tyle energii, że na resztę zajęć nie zostawało jej zbyt wiele. Nie miałam przyjaciół. Nie patrzyłam nauczycielom w oczy.

Dzień w dzień skupiałam się tylko na tym, by zapamiętać każdy możliwy szczegół: oczy mamy, krzyk siostry, głupkowaty uśmieszek brata. W mojej głowie brakowało miejsca na cokolwiek innego.

Aż pewnego dnia, idąc ulicą, zauważyłam mężczyznę

całującego dwuletnią córeczkę w czubek głowy. Zupełnie przypadkowo uchwyciłam tę chwilę ojcowskiej czułości. Dziewczynka odwróciła się do niego i jej okrągłą twarzą rozświetlił uśmiech o mocy miliona watów.

I wtedy serce mi pękło. Tak po prostu.

Wybuchłam płaczem. Łkałam spazmatycznie, wlokąc się ulicami Bostonu do mieszkania cioci. Kiedy cztery godziny później wróciła do domu, zastała mnie zalaną łzami, wtuloną w skórzaną sofę. Przeplakałyśmy razem cały tydzień, przytulone na kanapie przy serialu *Wyspa Gilligana* lejącym cicho w tle.

– Cholerny drań – podsumowała ciocia, gdy wreszcie się uspokoiłyśmy. – Co za cholerny, popierdolony drań.

A ja zastanawiałam się, czy nienawidzi go za zamordowanie siostry, czy może za obarczenie jej niechcianym dzieckiem.

Historia mojego życia.

OCALAŁAM. I NAWET JEŚLI nie zawsze o tym pamiętam, żyję. To obowiązek ocalałych.

Dorosłam. Skończyłam studia. Pracuję jako pielęgniarka w dziecięcym szpitalu psychiatrycznym w Bostonie. Większość czasu spędzam na oddziale zamkniętym z sześciolatkiem, który słyszy głosy, regularnie kaleczącą się ośmiolatką czy też dwunastolatkiem, którego pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie można zostawiać samego z młodszym rodzeństwem.

Działamy trochę jak ostry dyżur. Nie leczymy dzieci. Stabilizujemy tylko ich stan za pomocą leków, przyjaznego środowiska i innych dostępnych środków. A potem bacznie je obserwujemy. Staramy się poznać powody ich ataków. Przygotowujemy raporty dla grup specjalistów, którzy zajmą się leczeniem i zdecydują, czy objąć pacjentów programem rodzinnych warsztatów wyjazdowych, umieścić w zamkniętej placówce, czy może pozwolić im pod czujnym lekarskim okiem

wrócić do domów.

Część dzieciaków robi postępy. Na miarę własnych możliwości stają się porządnymi ludźmi, co należy uznać za nie lada sukces. Inne popełniają samobójstwa. Jeszcze inne zbrodnie. Trafiają na pierwsze strony gazet: młodociany przestępca otwiera ogień, starszy brat morduje całą rodzinę. Giną niewinni ludzie, często osoby postronne.

Wiem, co sobie myślicie. Wydaje wam się, że wybrałam tę pracę, by ocalić dzieci takie jak ja. Niektórzy doszukują się nawet bardziej heroicznych pobudek i sądzą, że próbuję zapobiegać tragediom takim jak ta, która spotkała moich bliskich.

Rozumiem wasz tok myślenia.

Ale przecież jeszcze mnie nie znacie.

Rozdział 1

W CZWARTKOWY WIECZÓR DETEKTYW sierżant D.D. Warren miała randkę. Pamiętała lepsze, ale zdarzały się również gorsze. A że od dawna nie była na żadnej, zamierzała zaprosić Chipa do siebie na intensywny trening akrobatyki pościelowej, jeśli tylko nie okaże się kompletnym frajerem.

Zjedli już pół bochenka chleba maczanego w oliwie i połowę średnio wysmażonej krowy. Na szczęście Chip nie odważył się skomentować stojącego przed nią talerza ze stosem ociekających tłuszczem żeberek. Nie odezwał się też słowem, gdy postanowiła dokładnie wytrzeć talerz kolejną kromką chleba. Miła odmiana, bo większość facetów zdumiewał jej ogromny apetyt. Odczuwali wewnętrzną potrzebę żartowania z pochłanianych przez nią porcji.

A potem w równie żenujący sposób zaklinali się, że za nic nie widać tego po jej dziewczęcej figurze.

Tak, to prawda, miała apetyt zapaśnika sumo i figurę modelki z pierwszych stron magazynów. Na Boga, dobiegała czterdziestki i doskonale zdawała sobie sprawę ze swego dziwnego metabolizmu. I naprawdę żaden podstarzały urzędnik z brzuszkiem nie musiał jej o tym przypominać. Jedzenie było jej pasją. Głównie dlatego, że praca w wydziale zabójstw bostońskiej policji nie pozostawiała zbyt wiele czasu

na seks.

Po spałaszowaniu żeberek natychmiast zabrała się za pieczonego ziemniaka. Chip był audytorem śledczym. Umówiła ich żona kolegi jednego z kumpli z wydziału. Bez sensu, D.D. doskonale o tym wiedziała. Ale oto siedzieli w jednym z boksów restauracji Hill Top i D.D. musiała przyznać, że Chip jest w porządku. Trochę sflaczały na brzuchu, odrobinę łysiejący na czubku głowy, lecz zabawny. Lubiła zabawnych facetów. Kiedy Chip się uśmiechał, uroczym marszczyły mu się kąciki głębokich brązowych oczu. I to jej wystarczało.

Cóż, na kolację mięso z pieczonymi ziemniakami, a na deser, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Chip.

I wtedy oczywiście rozległ się dźwięk pagera.

Skrzywiła się i przesunęła go na tył paska, jakby to mogło coś zmienić.

– Co to? – spytał Chip na głos alarmu.

– Przypomnienie o tabletce antykoncepcyjnej – bąknęła pod nosem.

Poczerwieniała po czubki przerzedzonych brązowych włosów, a po chwili uśmiechnął się nieśmiało od ucha do ucha z takim chłopięcym urokiem, że D.D. poczuła, jak mięknię jej kolana.

Lepiej, żeby to było coś ważnego, pomyślała. Lepiej, żeby to była jakaś pieprzona masakra, jeśli mam sobie odpuścić tę noc.

Kiedy zerknęła na pager, natychmiast pożałowała tej myśli.

Zabawny audytor śledczy o imieniu Chip dostał buziaka na do widzenia.

A detektyw sierżant D.D. Warren ruszyła w drogę.

PRACOWAŁA JAKO DETEKTYW W BOSTOŃSKIEJ POLICJI OD DWUNASTU lat. Zaczynała od ofiar wypadków drogowych i zabójstw z

narkotykami w tle. Z czasem jednak zaczęto jej przydzielać głośne medialne sprawy, takie jak odnalezione w podziemnej kryjówce zmumifikowane zwłoki sześciorga dzieci czy całkiem niedawno zniknięcie młodej nauczycielki z południowego Bostonu. Szefowie lubili stawiać ją przed kamerami. No bo któż to wszystko lepiej rozegra niż atrakcyjna blondynka?

D.D. nie miała zresztą nic przeciw temu. Stres dodawał jej skrzydeł. Presję towarzyszącą najgorętszym sprawom lubiła nawet bardziej niż knajpy, w których płacisz raz i jesz, ile tylko dusza zapragnie. W stopniu sierżanta przewodziła trzyosobowej grupie operacyjnej, która całe dnie potrafiła spędzać na szukaniu dowodów, przesłuchiwaniu informatorów i oględzinach miejsc zbrodni, a potem całe noce na spisywaniu zeznań, przygotowywaniu oświadczeń czy wniosków o wydanie nakazów. Zespoły musiały być też na zmianę w pełnej gotowości do rozpoczęcia kolejnego śledztwa, co zamykało ich członków w niekończącej się spirali niecierpiących zwłoki bieżących dochodzeń, starych niezamkniętych spraw oraz co najmniej jednego czy dwóch nowych wezwań tygodniowo.

D.D. niewiele sypiała. Rzadko umawiała się na randki. Właściwie na nic innego poza pracą nie starczało czasu. Taki stan rzeczy nie przeszkadzał jej do zeszłego roku, kiedy skończyła trzydzieści osiem lat, a jej były stanął na ślubnym kobiercu i założył rodzinę. Twarda, wyszczekana pani sierżant, która dawno temu poślubiła swoją pracę, zaczęła się nagle łapać na przeglądaniu czasopism typu „Nowoczesna Pani Domu” albo, co gorsza, „Stylowa Panna Młoda”. Któregoś razu wpadł jej w ręce magazyn „Porady dla Rodziców”. Dobiegająca czterdziestki bezdzietna singielka czytająca samotnie w mieszkanku w North End „Porady dla Rodziców”? Nie ma chyba nic bardziej przygnębiającego.

Zwłaszcza gdy uświadomiła sobie, że niektóre z zamieszczonych tam wskazówek, jak radzić sobie z kilkulatkami,

mogłaby z powodzeniem zastosować wśród członków swojej grupy operacyjnej.

W końcu kiedyś wyrzuciła wszystkie pisma i obiecała sobie, że umówi się na randkę. I tak znalazła się w towarzystwie Chipa, biednego Chipa, któremu szansa na seks przeszła właśnie koło nosa. D.D. musiała bowiem ruszyć do Dorchesteru, mimo że jej grupie nie przypadał w tym tygodniu dyżur. Wyświetlony na pagerze czerwony alarm oznaczał jednak dużą i paskudną sprawę, a tym samym obecność obowiązkową wszystkich jednostek.

D.D. zjechała z autostrady międzystanowej I-93, by labiryntem uliczek dostać się do części miasta zamieszkaney głównie przez klasę robotniczą. Miejscowi funkcjonariusze kojarzyli Dorchester z narkotykami, strzelaninami i hucznymi imprezami, które tylko generowały kolejne problemy z narkotykami i kolejne strzelaniny. Aby zmniejszyć trochę panujący w okolicy hałas, lokalny posterunek okręgu C-11 uruchomił jakiś czas temu specjalną linię telefoniczną, a w weekendy patrolowano ulice przygotowaną do tego celu „improwowaną bryką”. Po jakichś pięciuset telefonicznych zgłoszeniach i prewencyjnych aresztowaniach w Dorchesterze można było wreszcie odnotować spadek liczby zabójstw, gwałtów i napaści z bronią w ręku. Za to wzrosła liczba włamań. Bilans znów wyszedł na zero.

Nawigacja doprowadziła ją do całkiem przyjemnej dwupasmowej uliczki, ze skromnymi trawnikami po obu stronach i długimi rzędami stojących gęsto dwupiętrowych domków, z których wiele dumnie prezentowało okazałe ganki, a czasem nawet imponujące wieżyczki.

Większość budynków zaczęła z czasem spełniać funkcję domów wielorodzinnych, podzielonych dziś na nawet sześć czy osiem oddzielnych mieszkań. Okolica nie straciła jednak na estetyce, trawniki wciąż były starannie przycięte, a poręcze

na gankach świeżo odmalowane. Łagodniejsze oblicze Dorchesteru, pomyślała D.D., coraz bardziej zaintrygowana.

Kiedy dostrzegła rząd zaparkowanych fordów crown victoria, zwolniła. Było około wpół do dziewiątej wieczorem, sierpniowe słońce zaczynało się właśnie chować za horyzont. D.D. zobaczyła zaparkowaną na wprost karetkę i samochód ekipy technicznej otoczone wozami transmisyjnymi oraz tłumem gapiów.

Gdy wcześniej na jej pagerze wyświetlił się adres, założyła, że chodzi o narkotyki. Najpewniej porachunki gangów. Z paskudnym finałem, skoro zastępca komendanta wzywał na miejsce wszystkich swoich osiemnastu detektywów. Przypuszczała, że musiały ucierpieć przypadkowe osoby. Może jakaś staruszka siedząca akurat na swojej werandzie, może bawiące się na chodniku dzieci. Takie rzeczy się zdarzały i z biegiem lat wcale nie stawały się łatwiejsze do zaakceptowania. Ale trzeba było stawić im czoło. Cóż, taka już rola bostońskich stróżów prawa. Jednak teraz, kiedy D.D. wysiadła z samochodu, przypięła identyfikator do paska obcisłych czarnych dżinsów i zakryła randkowy dekolt prostą białą koszulą, zaczynała mieć wątpliwości, czy chodzi o narkotyki. Ogarnęło ją przecucie, że to coś znacznie gorszego. Przerzuciła przez ramię cienki żakiet i ruszyła chodnikiem w kierunku paszczy lwa.

Przepychając się przez tłum wścibskich dorosłych i ciekawskich dzieciaków, starała się zachować pełną koncentrację, lecz mimowolnie rejestrowała docierające do niej strzępki zdań: „strzały...”, „wrzask, jakby zarzynano prosiaka”, „przecież ledwie cztery godziny temu jakby nigdy nic rozpakowywała zakupy”.

– Przepraszam, przepraszam. Proszę mnie przepuścić. Policja. Z drogi, koleś!

W końcu udało jej się przedrzeć przez tłum i zanurkować pod żółtą policyjną taśmą odgradzającą część chodnika, co

oznaczało wkroczenie w samo epicentrum chaosu typowego dla miejsca zbrodni.

Przed sobą miała szary dwupiętrowy dom z imponującym gankiem z kolumnami, nad którym powiewała amerykańska flaga. Otwarte na oścież dwuskrzydłowe drzwi zapewniały swobodny przepływ śledczych i sanitariuszy z noszami.

D.D. rzuciły się w oczy koronkowe firanki zdobiące wykuszowe okna po obu stronach drzwi. Na ganku stało sześć niebieskich składanych krzeseł i cztery urocze doniczki z czerwonymi pelargoniami; nad wejściem wisiała ozdobiona rysunkami pelargonii tabliczka z napisem *Zapraszamy*.

No tak, to coś zdecydowanie gorszego niż porachunki lokalnych gangów narkotykowych.

Westchnęła, przybrała pokerową twarz i podeszła do pilnującego schodów mundurowego. Podała mu swoje nazwisko i numer odznaki. Mężczyzna odnotował jej wejście, po czym wskazał głową stojący tuż obok pojemnik.

D.D. posłusznie wyciągnęła ochraniacze na obuwie i czepek na włosy. To wiele mówiło o charakterze zbrodni.

Wolnym krokiem szła schodami na górę, starając się trzymać jednej strony. Stopnie wyglądały na świeżo pomalowane, szarawy odcień świetnie komponował się z kolorem elewacji. Do tego przytulny czysty ganek. Ktoś najwyraźniej niedawno go zamiótł, może pani domu po rozpakowaniu zakupów?

Lepiej, gdyby był brudny, pokryty kurzem. Wtedy zostałyby na nim ślady obuwia, a to pomogłoby złapać osobę odpowiedzialną za to, co za chwilę D.D. miała zobaczyć.

Przed wejściem do środka wzięła jeszcze głęboki wdech, wciągając do płuc mieszaninę zapachu trocin i zaschniętej krwi. Zza pleców dobiegały ją słowa dziennikarza dopytującego się, czy złoży oświadczenie dla prasy. Z głębi domu dochodziły odgłosy migawki aparatu fotograficznego. Nad głową buczał silnik helikoptera. Białły szum na wszystkich frontach. Za nią

tłumy gapiów, przed nią zastępy policjantów, a nad nią stado reporterów.

Chaos, głośny, cuchnący, przytłaczający.

A ona miała zrobić z nim porządek.

Zabrała się więc do roboty.

Rozdział 2

VICTORIA

– CHCE MI SIĘ pić – informuje mnie.

– Na co masz ochotę? – pytam.

– Kobieto, daj mi pić albo obję ci tę parszywą gębę!

Wcale nie wygląda na wkurzonego. Tyle że tak to się często zaczyna. Niekiedy burza przychodzi znenacka. W jednej chwili ogląda spokojnie telewizję, w drugiej zaczyna demolować salon. A innym razem potrafi dobrą chwilę balansować nad przepaścią. Jeśli powiem lub zrobię, co trzeba, uspokoi się... Ale jeden fałszywy ruch, nieodpowiednie słowo...

Wstaję z kanapy. Jest czwartek, piekielnie gorące i wilgotne sierpniowe popołudnie. Dzień z tych, które w całości najlepiej przeleżeć na plaży lub nad basenem. Oczywiście dla nas żadna z tych opcji nie wchodzi w grę. Cały dzień spędzamy w klimatyzowanym domu, oglądając kanały historyczne. Myślałam, że spokojny wieczór trochę go wyciszy. Ale teraz już sama nie wiem.

W kuchni rozważam wszystkie możliwości. Przygotowanie napoju to istne pole minowe. Najpierw trzeba odgadnąć, o który konkretnie mu chodzi. Potem wybrać odpowiednią szklankę, kubek lub filiżankę. Wreszcie zdecydować, czy dodać lód, podać słomkę, serwetkę czy może podkładkę.

Kiedys w ogóle nie zareagowałabym na żądanie postawione w ten sposób. Kazałabym mu poprosić, zmienić ton. Przypomniałabym, że nie jestem jego służącą. Że powinien odnosić się do mnie z szacunkiem.

Wszystko się jednak zmienia. Nie od razu. Drobiazg za drobiazgiem, chwila za chwilą, decyzja za decyzją. Kawałek po kawałku oddajesz siebie. I nigdy już nic z tego nie odzyskasz.

Wybieram niebieski kubek, ostatnimi czasy jego ulubiony, i wodę – mniej sprzątania, jeśli chluśnie mi nią w twarz. Ręce już mi się trzęsą. Biorę kilka głębokich wdechów. Jeszcze nie puściły mu nerwy. Pamiętaj, nie puściły mu nerwy. Jeszcze nie.

Wnoszę kubek do salonu, stawiam na stoliku i udając, że spuszczam wzrok, zerkam na niego ukradkiem. Jeśli jego stopy leżą spokojne na podłodze, dalej będę próbowała go udobruchać. Ale jeśli już ma lekkie tiki, jeśli przytupuje albo wyciąga rękę, szykując się do zadania ciosu, szybko się wycofam. Pobiegnę po lorazepam, żeby go otumanić.

Mówię wam, gdy raz oddacie kawałek siebie, nigdy go już nie odzyskacie.

Bierze kubek. Stopy ani drgną. Ręce luźno opadają przy tułowi. Upija łyk na próbę, po czym odrywa kubek od ust...

I odstawia go na stół.

Kiedy zacznę wreszcie oddychać, szybkim ruchem chwyta plastikowe naczynie i ciska nim prosto w bok mojej głowy. Zataczam się, raczej na skutek szoku, a nie siły uderzenia.

– Co to ma, kurwa, być?! – krzyczy mi prosto w mokrą twarz. – Co to ma, kurwa, być?!

– Woda – odpowiadam głupio.

Próbuję zadać mi kolejny cios. Woda rozpryskuje się po kanapie. Zaczyna się pościg. Pędzę na dół do szafki z lekami. On biegnie za mną, chcąc mnie powalić. Chwycić za włosy i uderzać moją głową o twardą drewnianą podłogę. Albo zacisnąć mi dłonie na gardle.

U progu salonu udaje mu się złapać mnie za kostkę. Upadam ciężko na prawe kolano. Kopię go odruchowo. Słyszę, jak wyje z wściekłości, kiedy uwalniam się i robię kolejne cztery kroki.

Znów mnie chwyta i z całej siły przyciska do paneli ściennych. Poręcz stojącego obok krzesła wbija mi się w bok, boleśnie raniąc żebra.

– ZDZIRA! Zdzira, zdzira, zdzira!

– Proszę – szepczę. To nic nie da, ale coś przecież muszę powiedzieć. – Proszę, proszę, proszę.

Zaciska dłonie na moich nadgarstkach z taką siłą, że czuję, jak miażdży mi kości.

– Proszę, kochanie – znowu szepczę, desperacko starając się zachować spokojny ton. – Proszę, puść mnie, kochanie. Sprawiasz mi ból.

On jednak trzyma mocno. Źle oceniłam sytuację, przegapiłam pierwsze symptomy, a teraz pochłonęły go już ciemności. Cokolwiek zrobię, cokolwiek powiem, nie będzie miało znaczenia. Jest jak dzikie zwierzę, które musi kogoś skrzywdzić.

A ja, jak zawsze w takich chwilach, czuję, że mimo wszystko go kocham. Kocham tak bardzo, że serce pęka mi głośniejsz niż którakolwiek kość. I wiem, że muszę być ostrożna. Nie chcę go skrzywdzić.

Wsuwam mu stopę pod kolano i podcinam go. Łąduje na podłodze w chwili, gdy uwalniam ręce. Pędzę do łazienki, do szafki z lekarstwami. Plądruję ją w panice, szukając pomarańczowej buteleczki.

– Zabiję cię! – ryczy z korytarza. – Dźgnę cię nożem milion razy. Odetnę ci łeb. Zjem serce, wyszę całą krew. Zabiję cię, zabiję, zabiję!

Potem dochodzi mnie dźwięk, którego nie chcę słyszeć – odgłos bosych stóp zmierzających w stronę kuchni.

Lorazepam, lorazepam, lorazepam. Gdzie jest, do cholery, lorazepam?

Trącam niechcący ręką buteleczkę z lekiem. Spada na podłogę i toczy się po kafelkach.

Słyszę kolejny krzyk, pełen nieskrępowanej, dzikiej wściekłości – zorientował się, że pozamykałam wszystkie noże. Zrobiłam to dwa tygodnie temu w środku nocy, kiedy spał. Musisz być zawsze o krok do przodu. Musisz.

Lorazepam poturlał się za sedes. Ręce za bardzo mi się trzęsą. Nie mogę go dosięgnąć. Słyszę zgrzyt otwieranych z impetem drzwi kuchennej szafki z wiśniowego drewna. Kubki, talerze i półmiski lądują na importowanych włoskich kaflach podłogowych. Dawno temu zmieniałam wszystkie naczynia na melaminowe i plastikowe, co doprowadza go do jeszcze większej furii. Musi zdemolować kuchnię. Robi to za każdym razem, a brak fizycznych szkód jeszcze bardziej wyprowadza go z równowagi.

Kolejny głośny trzask, a potem cisza. Wstrzymuję na chwilę oddech, następnie nachylam się nad sedesem, próbując dosięgnąć buteleczki. Przedłużająca się cisza niepokoi mnie bardziej niż głośny rumor.

Co on tam robi? Co znalazł? Zapomniałam o czymś?

Cholera, potrzebuję lorazepamu... natychmiast!

Zmuszam się, by oddychać miarowo, jakoś uspokoić skołatane nerwy. Ręcznik – to jest pomysł. Zrolować ręcznik, popchnąć nim buteleczkę i wydobyć ją z drugiej strony. Mam.

Z tabletkami uspokajającymi w dłoni skradam się korytarzem spowitym ciszą, przerażona tym, co mogę za chwilę zobaczyć.

Jeden krok. Drugi, trzeci, czwarty...

Zbliżam się do końca korytarza. Po lewej znajduje się dość duży salon, który przechodzi w jadalnię i gustownie urządzonej kuchnię, a stamtąd jest wyjście z powrotem na korytarz.

Wychylałam się zza usychającego fikusa, po czym skradam się na palcach do salonu, bacznie obserwując zdradliwe zakamarki, w których mógłby się ukryć – narożną kanapę, sponiewieraną meblościankę z telewizorem, postrzępione jedwabne zasłony...

O czym zapomniałam? O czym nie pomyślałam i ile będzie mnie to kosztować?

Przed oczami pojawiają się obrazy z przeszłości. Scena, gdy wypadł ze spiżarni z tłuczkiem do mięsa i połamiał mi dwa żebra, nim zdążyłam uciec. I ta, gdy po raz pierwszy dorwał tasak, ale nie trafił w moje ramię, tylko rozciął własne udo. Wystraszyłam się, że przebił sobie tętnicę i wykrwawi się, jeśli zostawię go samego. Musiałam więc stawić mu czoło i wyrwać tasak z dłoni. Pocieszałam go potem, kiedy płakał z bólu. Siedzieliśmy przytuleni, a krew z naszych ran wsiąkała w perski dywan w pięknym korytarzu ze sklepionym sufitem.

Nie wolno mi teraz o tym myśleć. Muszę się skupić. Znaleźć go. Uspokoić. Odurzyć.

Krok po kroku przemykam przez salon i dochodzę do jadalni, uważając na spowite mrokiem kąty i nie przestając nasłuchiwać odgłosów zza pleców. Kuchnia ma wyjście na korytarz, dlatego bez problemu mógłby zajść mnie od tyłu.

Stopa za stopą. Centymetr po centymetrze. Z buteleczką leków, którą ściskam kurczowo w dłoni niczym puszkę z gazem pieprzowym.

Znajduję go w kuchni. Zdjął spodnie i załatwia się właśnie na dywanik. Kiedy podchodzę, podnosi wzrok i uśmiecha się triumfalnie.

– I co teraz powiesz o swoim drogim dywaniku? – szydzi.
– Dalej uważasz, że jest tak kurewsko wyjątkowy?

Podchodzę do niego spokojnym krokiem, wyciągając buteleczkę z lorazepamem.

– Proszę cię, kochanie. Przecież wiesz, że cię kocham. Proszę.

W odpowiedzi bierze w rękę własne odchody i wciera je w swój nagi brzuch.

– Zabiję cię – rzuca spokojnym głosem.

Nie odzywam się. Wyciągam tylko w jego stronę buteleczkę ze środkiem uspokajającym.

– Zrobię to w środku nocy. Ale najpierw cię obudzę. Chcę, żebyś wiedziała.

Kurczowo trzymam tabletki.

– Pozamykałaś wszystkie noże – mówi śpiewnym głosem.

– Pozamykałaś wszystkie noże. Czy aby na pewno wszystkie? Jesteś pewna? Jesteś pewna? Jesteś pewna?

Uśmiecha się radośnie, a ja natychmiast szukam wzrokiem suszarki na naczynia, której zawartość porozrzucana jest po całej kuchni. A może został tam nóż? Może umyłam jakiś rano? Nie pamiętam i będzie mnie to pewnie drogo kosztować. Takie rzeczy zawsze mnie drogo kosztują.

Odkręcam buteleczkę.

– Musisz teraz odpocząć, kochanie. Wiesz, że wtedy poczujesz się lepiej.

Wysypuję na dłoń kilka tabletek. Podchodzę na tyle blisko, że w nozdrza uderza mnie smród fekaliów. Jednym palcem otwieram mu powoli usta i wciskam w zagłębienie policzka szybko rozpuszczające się pigułki.

On obejmuje mnie swoimi brudnymi rękami i niemal czule pociera pulsującą na szyi żyłę.

– Zabiję cię szybko – obiecuje. – Nożem. Tu go wbiję. Właśnie tu.

Wciska palce mocniej w zagłębienie w mojej szyi, jakby chciał przeciwżyć ten śmiertelny cios.

Po chwili widzę, jak rozluźniają się mięśnie jego twarzy. Lek zaczyna powoli działać. Ręka mu opada, uśmiech powoli rozjaśnia twarz. Tym razem jest to uśmiech pełen słodczy. Niczym promyk słońca podczas ulewnej burzy. Mam ochotę

płakać, ale powstrzymuję łzy.

Kawałek po kawałku oddajesz samą siebie. I nigdy już niczego nie odzyskasz.

Dziesięć minut później leży w łóżku. Rozbieram go i myję gąbką namoczoną w wodzie z mydłem, choć z doświadczenia wiem, że zapach ekskrementów i tak utrzyma się na skórze jeszcze przez jakiś czas. Będzie mnie potem o niego dopytywał, a ja będę kłamać, bo tak się nauczyłam.

Czyszczę syna. Czyszczę siebie. Trzeba umyć naczynia, odłożyć je do szafek. Wyrzucić dywanik. Ale to wszystko może poczekać.

W zalegającej wokół ciszy wracam do sypialni. W świetle lampki nocnej przyglądam się z rozczuleniem spokojnym rysom jego twarzy. Włosom, które zwinęły się nad lewą skronią w złocisty kosmyk. Ustom lekko zaciśniętym, jak u małego dziecka. Delikatnie pieszczę palcami jego policzków. Chwytam dłoń, teraz zupełnie bezwładną, nierobiącą nikomu krzywdy, niesiejącą zniszczenia, i trzymam przez chwilę.

I zastanawiam się, czy właśnie tej nocy wreszcie mnie zabije.

Poznajcie Evana, mojego syna.

Ma osiem lat.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).